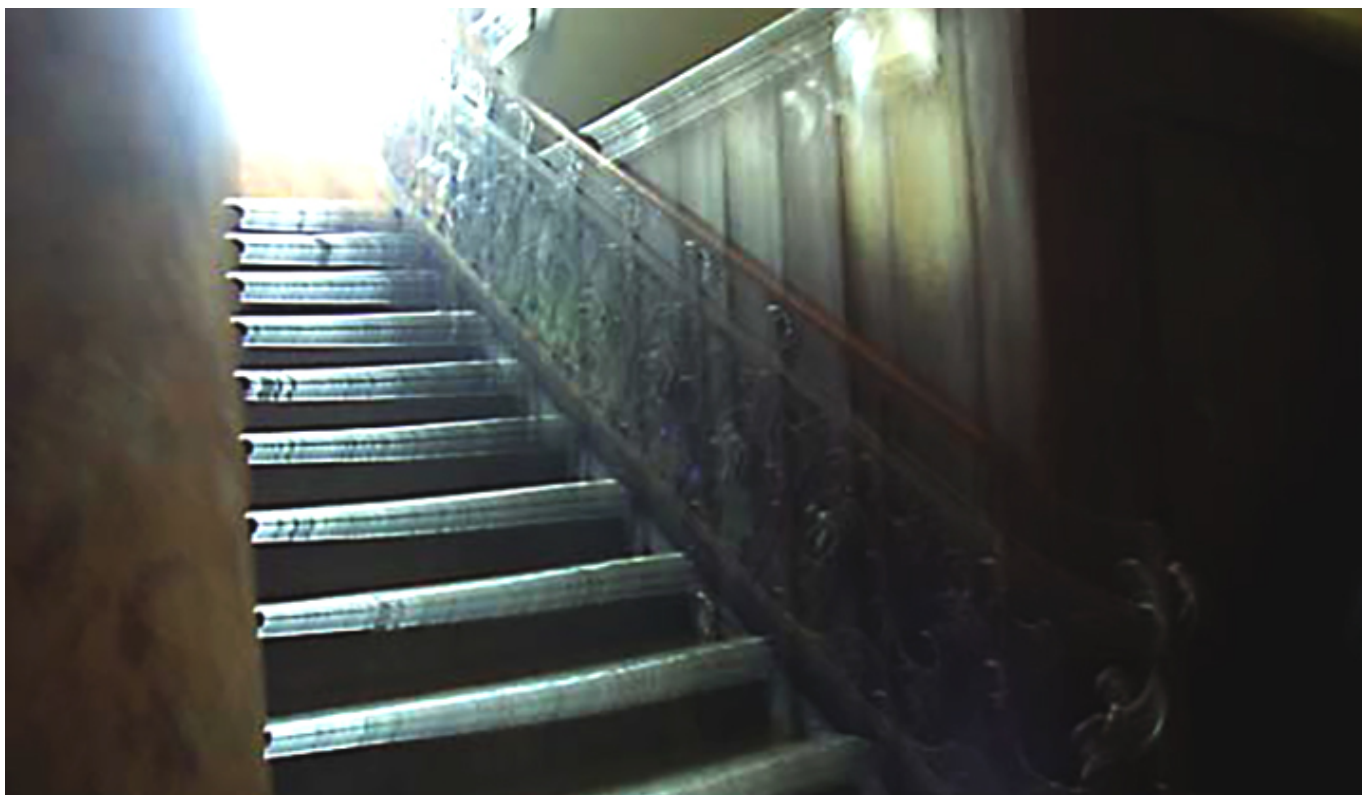


Schody



Adam Fiala

Matura po polskim październiku 1956 roku nie była łatwa zwłaszcza z przedmiotu zwanego historią. Przedmiot ten lubi ulegać magicznym zmianom. Zaś szkoła imienia Stanisława Staszica w Lublinie kojarzy mi się głównie ze Schodami. Nie chodzi o kariery, wielu uczniów je porobiło zwłaszcza w naukowych dziedzinach. Schody były drewniane, o wypracowanych stopniach, zjeżdżało się po nich w ciapach jak po ślizgawce. Były dwa zjeżdżania. Pierwsze gdy kończyły się lekcje, a były także w sobotę, drugie na gorącą zbożową kawę w podziemiach. Akurat przed dużą przerwą. Śpiący na lekcjach wtedy się budzili, nawiedzeni trzeźwieli i wiara wyruszała nie w pole, ale do kawopojju. Kanapki własne przynosiło się z domu, przeważnie bułki bez szynki. Szynka w socjaliźmie była produktem strategicznym. Wszystkie ówczesne ruchy, także solidarnościowe były głównie z powodu mięsa, jak to nazywano „świnoujścia” do Związku Radzieckiego, gdzie kołchozy i sowchozy nie nadążały z produkcją.

Ze Schodami kojarzą mi się dwaj nauczyciele zwani „psorami”. Pierwszym z nich był

dyrektor Majder, pseudo uczniowskie było zbędne bo krótkie nazwisko. Dyrektor, łacinnik, słynny z południowego temperamentu. Uczęszczałem na lekcje łaciny i szalenie bawiła mnie i klegów głośna odmiana: *hic, haec, hoc, huius, huic*. Majder lubił trzepać zeszytem po głowie ucznia nieprawidłowo odmieniającego. Drugie słowo to było *plusquamperfectum*. To taki czas zaprzeszły. Akurat w naszym czasie nie brakowało pluskiew i były perfekcyjne.

Jest nonsensem, że łacina to język martwy acz piękny. To jest urzędowy język państwa Watykan, nawet wynajdują nowe słownictwo na takie terminy jak telefon komórkowy czy komputer. On żyje i króluje. Na maturze miałem więc język łaciński. Zwolniony byłem potem na studiach prawniczych z uciążliwego lektoratu tego języka. Drugą uciążliwością nieznaną studentom KUL to było Studium Wojskowe, ale to zupełnie inna *cup of tea*.

Majder nie tylko trzepał zeszytami po głowach. Także ciapami, wtedy unosił się straszny pył. Zaczął się przy końcu schodów i jak ktoś zjechał krzyczał: "poznałem cię", kazał zdejmować ciapa i odkurzał go na głowie delikwenta. Wtedy nie było jeszcze absolutnej nietykalności cielesnej. Ale Majdera wyrzucono po polskim październiku i zajął jego miejsce Ślepak, z okularami grubymi jak dno szklanki. Ślepak jednak wszystko wiedział i widział bo miał szpiegów. Nauczał matematyki którą nazywał królową nauk. Wiedza matematyczna Ślepaka zamykała się w grubym zeszycie z gotowymi, rozwiązanymi zadaniami. Spiskowano nawet by podkraść mu ten zeszyt. Byłby bezradny jak i bez podwójnych okularów. Gdy zmieniał okulary cała klasa machała rękami zakładając, że w tym momencie kompletnie nic nie widzi. Te szczegóły zostały zupełnie pominięte w panegirycznej nieco książeczce "Tamten Staszic". Myślę że po prostu musiała być sporządzona w takim stylu. Rodzaj laurki. Cudem więc zdałem maturę z tego przedmiotu.

Ale jeszcze większy cud był z kolejnym „psorem” o pseudonimie Kalif. Też udało mi się zdać historię na trójkę. Kalif również wiąże się w mojej pamięci ze Schodami. Prowadził swą klasę dostojnie na śniadanie, wymachując grubą lachą jak Mojżesz. Do momentu. Wataha z góry napała na jego klasę i Kalif został przewrócony, podeptany, a lacha uleciał kilka metrów dalej. Od tego wydarzenia Kalif już przestał uczyć kultury zachowania i bawić się w Mojżesza, prowadzącego do Ziemi Obiecanej.

Kombinowałem już wtedy, przyznaję się, by uniknąć tłoku. Nakładałem czerwoną opaskę, niby dyżurnego i bez problemu ześlizgiwałem się w podziemia (Majdera już wtedy nie było). Kawę podawano bez ograniczeń, czasami nawet naturalną, nie, nie, nie w okolicach świąt państwowych czy 1 Maja ale akurat kościelnych. Kalif to była barwna postać godna satyryka i jego powiedzenie: "strzelaj Niemcze w pierś Szlązaka" przeszło do historii szkoły Staszica. Odnalazłem je w tej książeczce "Tamten Staszic" przesłanej mi z Lublina po śmierci kolegi z prawniczych studiów. Są w niej dwa piękne eseje Kmiecika i Szczepaniaka. Pierwszy jest naukowcem, a drugi kustoszem Muzeum Socjalizmu w Kozłówce pod Lubartowem. Może jakimś cudem się o tym felietonie dowiedzą, bowiem lubliniacy są rozprzestrzenieni po całym świecie. Zaś Kalif, który przeplatał przedmiot historii własnym życiem, był, jakby to aktualnie powiedzieć, i szowinistą i rasistą i Bóg wie kim, bohaterem prawdopodobnie także. Nienawidził wszystkich narodów i innych ras za wyjątkiem Francuzów, Polaków, a szczególnie ukochał etniczną grupę Hanysów czyli Ślązaków, choć sam był w innym miejscu urodzony, jako „gorol” (*Ślązacy innych nazywają „gorole”, red.*). Ale uwaga szczególnie nie lubił Czechów. Czecha nazywał Prusakiem Wschodu. Mam czeskie nazwisko, jestem pragmatycznym pacyfistą w stylu właśnie czeskim (nawet w czasie Czeskiej Wiosny, czyli powstania przeciwko komunie, nikt albo prawie nikt nie zginął). Byłem tam tylko raz na wycieczce zakładowej z "Samopomocy Chłopskiej", ale uważam, że Praga Czeska to najpiękniejsze miasto Europy, dobrze że nie było tam nigdy ostrego powstania i nienaruszona ocalała. Ponadto tam urodził się mój ulubiony pisarz Franz Kafka, który się nie starzeje, a nawet jakby ciągle rośnie w aktualność. Kalif więc mógł do mnie odczuwać naturalną niechęć. Niektórzy nauczyciele jak Dziewulski zwany Cyganem wzywali mnie do tablicy okrzykiem: "Fiala przyleciała". Kalif miał na głowie tajemniczą bliznę. Podobno nie była z powodu Szwaba tylko obłany przez niego na maturze uczeń strzelił mu w głowę z modnego wówczas korkowca.

Kalif według własnych opowieści był bohaterem lub bardziej aktualnie ujmując rodzajem Rambo. Krótko ostrzyżony miał małe niebieskie świńskie oczka i w dodatku grywał na skrzypcach, żeby było jeszcze zabawniej. Grał jak to nazywał: kawałki. Kiedyś zagrał na akademii na pianinie taki kawałek bodajże Szuberta, ale jeden ważny klawisz nie działał. Kalif był w Legionach, w 1919 r. walczył o Śląsk Cieszyński. Wraz z garstką kolegów pobił cały batalion czeski, przeganiając wroga za

Olzę. W 1919 r. bił się z Ukraińcami o Lwów i Galicję Wschodnią. Ukraińcy się cofnęli. W 1920 r. rozgromił bolszewików i wygrał konkurs skrzypcowy.

Ale jeżeli chodzi o Szwabów to się z nim nie zgadzałem, bo kocham szwabski salceson, którego nie znajdzie się w Australii. Zwano go też Guzikowym, ze względu na oczka białego tłuszczu w czerwonym krwawym mięsie. Bogaci ludzie w Polsce, a nigdy ich nie brakowało, zwano ich Czerwonymi Świniami z Zatoki Dobrobytu karmili tym salcesonem psy i koty.

Kalif jednak lubił Napoleona. Ponoć z zemsty za Księstwo tylko Warszawskie Polacy namówili Napoleona do inwazji na Rosję. Ale to już zupełnie inna historia.

Spisujmy wspomnienia, bo lubią ulatywać w przestrzeń kosmiczną. Czy komiczną – jak kto woli.

Tymon Terlecki



Tymon Terlecki, 1983 r., w pracowni na Hazlewellu, fot. arch. Niny Taylor-Terleckiej.

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Z Tymonem Terleckim, wybitnym krytykiem teatralnym, dzieliłem mało zrozumiąłą dla innych pasję szanowania i oszczędzania papieru. Tworząc swoje utwory, rzadko kiedy używałem czystego arkusza papieru, jeżeli można było pisać na odwrocie już zapisanego. Nie pamiętam też bym napisał jakikolwiek tekst na czystej kartce, wszystkie powstawały na starych kopertach lub niepotrzebnych formularzach i makulaturze, a dopiero gotowe i skończone doczekały się translacji na czysty papier.

Tymon Terlecki posuwał oszczędzanie także daleko. Pisząc listy ścibił, by jak najwięcej zmieściło się na niewielkiej kartce. Kopert nowych w ogóle chyba nie używał, naklejając na starych nalepkę z nowym adresem. Złośliwi mówili, że robił tak ze skąpstwa, ale ja widzę w takim oszczędzaniu piękny gest ochrony drzew, dopiero dziś ceniony należycie, wczesny zmysł ekologiczny i obronę środowiska. Dzięki temu Tymon Terlecki w naszej pamięci posiadał okazały rezerwat wdzięcznych drzew, które się uratowały.

Nie marnotrawiąc papieru przecież zostawił drugiej żonie ogromną spuściznę literacką, której okazała się wiernym kustoszem, wydając ją z wielkim pietyzmem. Nina Taylor przyjęła rolę idealnego ambasadora męża. Opanowała nie tylko w sposób mistrzowski język polski, ale przejąwszy niektóre zamiłowania Tymona, stała się zdumiewającą specjalistką od niektórych zagadnień kresowej literatury polskiej. Jej dom w Oksfordzie jest nie tylko wielkim archiwum wybitnego teatrologa, ale żywym nadal źródłem ważnych publikacji.

O Tymonie Terleckim:

<http://www.cultureave.com/wytrwac-za-siebie-i-za-narod/>

Anioł Stróż. Opowiadanie sensybilistyczne.

Kazimierz Głaz *(Toronto, Kanada)*

*Aniele boży stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój. Rano wieczór, we dnie, w nocy,
przychodź zawsze do pomocy. Aniele boży, stróżu mój!*



Kazimierz Gład, Anioł Stróż, luty 2019 r.

Dawno, dawno temu, na pamiątkę Pierwszej Komunii dawano dzieciom obrazki. Były czarno-białe, czasami kolorowe i przedstawiały małego chłopca, który przechodził po drewnianej kładce nad wodą. Za nim szedł biały anioł z dużymi skrzydłami, podtrzymujący dziecko, żeby nie wpadło do wody. Dzisiaj dają w prezencie zegarki, rowery czy kłady, które zapewne nie działają tak silnie na wyobraźnię.

Mnie podobały się te obrazki, jak byłem dzieckiem, bo nigdy nie widziałem skrzydlatego człowieka. Huzarów na koniach widziało się tylko w książkach do historii. U nas w pobliżu domu był kanał, gdzie woda dochodziła do kolan, więc nie było obawy, że ktoś się utopi. Księża jednak uważali, że taki stróż-ochroniarz potrzebny jest na wszelki wypadek każdemu, kto zaczyna dorastać.

Tak też pewnie myśleli nasi rodzice, bo zamiast pilnować dzieci, oddawali je w ręce niewidzialnego pracownika społecznego bez umowy.

- Nie wchodź do wody, bo głęboka - mówili nieraz, ale nam było wszystko jedno, bo mieliśmy przecież naszego Anioła Stróża. Uwierzyłem i ja. Toteż przez długie, dobre lata, udawało mi się nie wpaść do tej wzburzonej wody.

Kładkę zamieniałem na samoloty, pociągi i autobusy, by objechać świat prawie dookoła bez szwanku, jak się to u nas mówiło. Anioły fruwały nad nami. Im jakoś łatwiej pewnie było w powietrzu niż na ziemi. Poza tym nikt na dobrą sprawę nie powiedział czy taki Stróż jest na kontrakcie i w jakim jest wieku. Czy Anioły się starzeją tak jak my i czy następca jest młodszy, czy starszy. Czy taki Anioł się czasem nie zagapi i nie straci kontroli na moment. Ten ważny Moment.



Kazimierz Gładki, Istota rzeczy, Elbląg, Centrum Sztuki Galeria EL, 2009 r.

Mój pewnie się zagapił, bo nic takiego w takim miejscu i w takim mieście nie powinno się wydarzyć. W tramwaju, w Toronto, w godzinach popołudnowych. Ale zdarzyło się. Wsiadłem. Tramwaj ruszył ostro, a ja upadłem na podłogę. Dobrzy ludzie pomogli, podnieśli, zapytali czy wszystko jest OK. Nie było. Dlatego pierwszej nocy w szpitalu u Świętego Michała przypomniałem sobie tamten obrazek z dzieciństwa.

Na pogotowiu szybko mnie przyjęli, wysłuchali, prześwietlili co trzeba i stwierdzili, że wszystko jest OK. Złamania nie ma. A więc Anioł nie przegapił, zdążył jak widać w ostatniej chwili, kości są w całości. Trzeba jednak było zrobić dalsze badania, więc wysłali mnie na siódme piętro szpitala, mimo, że było późno i chciałem iść do domu.

Tutaj muszę wyrazić słowa najwyższego uznania dla kanadyjskiej służby zdrowia. Niby wszystko jest w porządku, ale na wszelki wypadek trzeba jeszcze raz sprawdzić. Do tego celu służą ośrodki rehabilitacyjne, tzw. *rehaby*.

Zwolniono się miejsce w niezbyt odległej dzielnicy Bridgepoint i podwieziono mnie tam karetką. Ośrodek nowy, zbudowany dopiero trzy lata temu, był wygodnym miejscem do ćwiczeń i odpoczynku. Pokoje dwusoobowe, przestronne sale gimnastyczne, a przede wszystkim sala z komputerem, gdzie byłem jedynym użytkownikiem, bo inni mieli swoje własne gadżeciki i telefoniki do kontaktowania się ze światem. A świat był rozległy, dla mnie też. Mój kanadyjski szwagier w Tokyo, moja rodzina w Polsce, znajomi w Europie i kilka osób w Toronto, co się ostali wbrew czasowi jaki upłynął przez 50 lat mojego pobytu w Kanadzie.



Kazimierz Głaz, Motywy z Vence, Muzeum Witolda Gombrowicza, Wsola, Polska. Pacjent w pokoju, do ktorego mnie wprowadzono przedstawił się. Ja też. Kazimierz, poprawiam na Kazimir, bo to „rz” trudne jest obcym do wymówienia. Zaciekawienie. Dodaję, że jestem z Polski.

- *Nice to meet you* - mówi uśmiechając się przyjaźnie - bo ja też jestem pół Polakiem.

- A ty mówisz zapewne po polsku - dodaje z nadzieją, że po paru tygodniach z obcymi, pogadamy sobie po swojemu.

- Moja mama była z Krakowa, a ojciec z Kijowa - kontynuuje - i oboje byli Żydami. Poznali się tutaj, w Toronto i musieli się uczyć nowego języka - dodał usprawiedliwiająco.

Był znakomitym kompanem i rozmówcą. Nieco młodszy ode mnie. Od dziecka interesował się sztuką. Chodził nawet na jakieś kursy wieczorowe, chciał być artystą, ale jego matka, ta z Krakowa, uważała, że to nie najlepszy zawód i nie przynosi pewnego dochodu. Skończył więc szkołę techniczną, ale sztuką interesuje się do dziś.

Podobnie jak moja ciotka, nauczycielka, zabraniała mojej mamie wyrazić zgody na takie studia, bo artyści dawniej żyli w biedzie, albo nie po katolicku.

Jesteśmy parę dni przed Wigilią. Cały czas słyszy się *Merry Christmas*. Dookoła pacjenci i odwiedzający. Ludzie są podnieceni.

W Wigilię, zaraz po południu przychodzą do mnie Lena i Oliwier, moi najmłodszy przyjaciele, wraz z ich ojcem Piotrem. Duża radość. Zostawiają mnie z opłatkiem w kopercie. *Merry, Merry* i *Wesołych Świąt*. Zostaję sam i z moim sąsiadem czekamy na wigilijną Wieczerzę. Przez dobrą chwilę zastanawiałem się jak w takim momencie postąpić. Czy jako Polak ze swoją tradycją domową łamania się opłatkiem z rodziną i znajomymi? A jak zachować się z ludźmi z innej religii, z Żydem na przykład, czy pominąć swoją tradycję milczeniem, żeby nie urazić jego obyczajów? Czasami o tym rozmawialiśmy.

Przynoszą kolację w ładnych naczyniach, stawiają na stolikach. Przed pierwszą łyżką zatrzymuję go. Wstaję, podchodzę do niego i mówię, że teraz, zgodnie z polską tradycją powinniśmy złożyć sobie życzenia. Podaję kawałek opłatka, wymawiając uroczyście życzenia, on łamie swój kawałek, wkładając do ust, też mi życząc zdrowia. Ściskamy sobie dłonie. I obaj czujemy się gotowi do Wieczerzy. Teraz odkrywamy, że mnie podali rybę, a jemu kotlet mięsny. Śmiejemy się, że administracja wiedziała o naszych tradycjach religijnych i obyczajach.

Merry Christmas, any way!!!

Toronto, styczeń 2019 r.



Kazimierz Głaz, Istota rzeczy, Kraków, Galeria - Krypta u Pijarów, 2010 r.

O Kazimierzu Głazie:

<http://www.cultureave.com/w-poszukiwaniu-piekna-kazimierz-glaz/>

Strona artysty:

<https://sites.google.com/site/kazimirglaz/>

Kazimierz Głaz (ur. 26 marca 1931 w Borkach Nizińskich) - artysta malarz i prozaik. Reprezentuje kierunek w sztuce zwany sensybilizmem. Liczne wystawy zbiorowe i indywidualne w Kanadzie, we Francji, Niemczech i w Polsce; między innymi w galerii Zachęta w Warszawie, w Muzeum Narodowym we Wrocławiu i w Galerii El w Elblągu.

Laureat wielu nagród i wyróżnień; w 1965 roku na IV Międzynarodowym Biennale w Paryżu na wniosek Marca Chagalla otrzymał nagrodę Erasmus Prize z Holandii na

pobyt i pracę twórczą we Francji. W 1972 r. otrzymuje jedną z głównych nagród i wyróżnienie w konkursie na grafikę /Edition One/ w Toronto. W 1985 r. nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie wydał książkę zawierającą wspomnienia o Witoldzie Gombrowiczu, którego poznał podczas pobytu w Vence, we Francji w latach sześćdziesiątych. Od 1968 r. mieszka i tworzy w Toronto w Kanadzie.

Najbardziej znane serie obrazów i grafik to: „Impresje Moskiewskie”, „Ujęcie III Exoteryczne”, „Istota rzeczy - The Essence”.

Wydaje książki bibliofilskie, wspiera młodych artystów kanadyjskich oraz tworzy pierwsze stałe kolekcje sztuki współczesnej w szkołach.

Studia: 1950 - 1956 Malarstwo monumentalne na Wydziale Ceramiki i Szkła PWSSP we Wrocławiu; dyplom z malarstwa pod kierunkiem prof. Stanisława Dawskiego. W latach 1955-1958 mieszkał w Wałbrzychu, gdzie sformułował „Manifest sensybilistyczny i założył Niezależną Szopkę Sensybilistyczną. W 1957 r. wraz z Michałem Jędrzejewskim i grupą przyjaciół przygotował w Teatrze Kameralnym we Wrocławiu spektakl - akcję pt. „Sensybilizm, czyli, nie wolno robić z publiczności balona”. Wydarzenie to traktowane jest, jako pierwszy happening w Polsce. W 1958 r. powrócił do Wrocławia. W 1962 r. uczestniczył w wycieczce do Moskwy i Leningradu. Dwutygodniowy pobyt w Rosji zapoczątkował jego nową serię obrazów wynikających z fascynacji sztuką bizantyjską, którą przetworzył na sztukę współczesną.

Za obrazy z cyklu „Impresje moskiewskie” pokazane w 1965 r. na Ogólnopolskiej Wystawie Młodego Malarstwa w Sopocie otrzymał jedną z głównych nagród oraz roczne stypendium twórcze Ministerstwa Kultury, jak również udział w IV Międzynarodowym Biennale Malarstwa w Paryżu. Zdobyte na Biennale nagrody Erasmus Prize przyznanej przez Marca Chagalla umożliwiło mu trzyletni pobyt we Francji.

W 1966 r. został zaproszony przez Michael Karolyi Fondation do Vence na Lazurowym Wybrzeżu. Tam poznał Marca Chagalla, Maxa Ernsta, J. Miro oraz Witolda Gombrowicza. Swoje wspomnienia ze spotkań z pisarzem przekazał w książce „Gombrowicz w Vence” wydanej w jego opracowaniu w Toronto (1985) i w Krakowskim Wydawnictwie Literackim (1989).

Pod koniec 1968 r. wyjechał do Kanady i zamieszkał w Toronto. W 1969 r. zorganizował Toronto Center for Contemporary Art, które prowadzi do chwili obecnej. Wspólnie z artystami kanadyjskimi założył Community Art Collections sponsorowane przez Rząd Federalny. Artysty zatrudniani są na pensji pracując w swoich pracowniach i przekazują po kilka prac do stałych zbiorów sztuki w lokalnych szkołach.

Jego prace znajdują się dziś w stałych zbiorach w wielu muzeach krajowych i światowych jak m.in. Muzeum Sztuki Współczesnej w Tokyo, Metropolitan Museum w Nowym Yorku, w Barcelonie, w Sao Paulo, Dreźnie, w Paryżu, czy w zbiorach Watykanu.

W ostatnich latach kontynuuje swoje zainteresowania nad serią obrazów wielkoformatowych nazwanych „Istota rzeczy” oraz bierze udział w plenerach i spotkaniach artystów posługujących się językiem geometrii, organizowanych w Orońsku i Radziejowicach.

**„Ojczyzny się nie odwiedza,
do Ojczyzny się wraca”.
O Kazimierzu Wierzyńskim
na emigracji.**



Kazimierz Wierzyński. Londyn, 1928 r. fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Beata Dorosz

Instytut Badań Literackich PAN (Warszawa)

Wybuch wojny zastał Kazimierza i Halinę Wierzyńskich w Warszawie. Wojna nie była dla poety zaskoczeniem: w wierszu *Wstążka z „Warszawianki”*, napisanym 27 sierpnia 1939, przejmująco brzmi fraza „Znów będzie wojna” i jedna ze strof:

Biją polskie zegary kurant po kurancie,

Naprawdę idzie pożar. Na ściany się wdrze

Gęstą łuną, co wszystko z tych murów pościera

Oprócz krwi zapisanej na waszej katedrze:

Że tym się tylko żyje, za co się umiera.

Dnia 6 września Wierzyńscy opuścili Warszawę. Szlak wojennego *exodusu* wiódł przez Zamość, Lwów, Śniatyn (gdzie przekroczyli granicę rumuńską), Ploeshti, Jugosławię i Włochy do Paryża, do którego dotarli w końcu października. W przewidywaniu klęski Francuzów Wierzyńscy w maju 1940 r. wyjechali najpierw do Biarritz, potem do Nicei, wreszcie wydostali się z okupowanej już przez hitlerowców Francji w sierpniu 1940 r. Pokonując trudności wizowe, hiszpańskie oraz portugalskie i brazylijskie, ostatecznie 13 października 1940 r. opuścili Europę, płynąc z Lizbony do Rio de Janeiro. Stosunkowo niewiele wiadomo o tym etapie biografii poety, choć zapewne aktywnie uczestniczył w życiu towarzysko-literackim i politycznym dość licznej tam wówczas grupy polskich emigrantów z Janem Lechoniem i Julianem Tuwimem na czele.

Nowojorska historia Wierzyńskiego rozpoczyna się 2 czerwca 1941 r., kiedy poeta wraz z żoną przyłynął tu z Brazylii. Znaczącym preludium była kilka miesięcy wcześniej akcja Haliny Rodzińskiej zbierania wśród przyjaciół i znajomych z Polonii amerykańskiej datków na ratowanie dwóch polskich artystów – Rafała Malczewskiego i Kazimierza Wierzyńskiego – wygnanych przez wojenną pożogę z Polski.

Po dziesięciu miesiącach spędzonych w Brazylii Wierzyński znalazł się w Nowym Jorku i od razu wtopił się w tutejszą emigracyjną społeczność. W 1942 r. powołano do życia Polski Instytut Naukowy (PIN) w Ameryce z siedzibą w Nowym Jorku, placówkę naukową utworzoną pod szyldem Polskiej Akademii Umiejętności, która miała umożliwić polskim uczonym i artystom działalność na emigracji w czasie wojny. Na uroczystości inauguracyjnej 15 maja 1942 r. Wierzyński wystąpił jako przedstawiciel Polskiej Akademii Literatury. Gdy w Instytucie powstała Komisja Historii Literatury Polskiej, jej przewodniczący, Waław Lednicki, zaprosił też do niej Wierzyńskiego. Komisja zorganizowała na przełomie 1942/43 r. cykl odczytów o historii literatury polskiej, zamknięty 26 kwietnia 1943 r. wykładem Wierzyńskiego *Współczesna literatura polska na emigracji*.

Dalsze związki Wierzyńskiego z PIN były nie tylko formalne (poeta przez wiele lat był członkiem zarządu), czy towarzyskie (krąg jego przyjaciół w większości stanowili ludzie związani z Instytutem, będącym wówczas centrum życia naukowo-artystycznego i towarzyskiego emigracji niepodległościowej). Ważne fakty z biografii

artystycznej Wierzyńskiego wpisywały się też w działalność PIN, jak np. uroczysta promocja książki *The Life and Death of Chopin* połączona z inauguracją roku akademickiego 1949/50. W 1959 r. PIN był współwydawcą *Poezji zebranych* oraz współinicjatorem wydania tomu *Selected Poems* w przekładzie na język angielski (wyd. Voyagess Press). W czerwcu 1959 r. Wierzyńscy wyjechali na dłuższy czas do Europy, nie zrywając wszakże nowojorskich kontaktów.

Wielkie zaangażowanie Wierzyńskiego w sprawy PIN wywołała podróż jego ówczesnego dyrektora, Stanisława Strzetelskiego, jesienią 1960 r. do Polski. Odebrał on szereg rozmów o współpracy z bibliotekami uniwersyteckimi (planując bibliotekę naukową w PIN) oraz podjął problem wstrzymywania wyjazdów stypendystów, którym Instytut przyznał stypendia naukowe na krótkie wyjazdy do Europy Zachodniej, co wymagało kontaktów z przedstawicielami Polskiej Akademii Nauk, uznawanej na emigracji za sterowaną przez reżim uzurpatorkę w zarządzaniu nauką polską. W konsekwencji w prasie emigracyjnej rozgorzała dyskusja na temat zadań PIN i metod ich realizacji oraz jego prestiżu naukowego i moralnego. Meritum stanowiły jednak zadania emigracji wobec kraju i jej odpowiedzialności za rozwój nauki, kultury i sztuki, firmowanej przez placówki działające w Polsce.



Kazimierz Wierzyński, fot. alchetron.com

Wielce zaniepokojony Wierzyński w Montgeron pod Paryżem prosił Strzetelskiego o wyjaśnienia; nadeszły w liście z 11 stycznia:

Kochany Kaziu! [...] W istocie swej spór toczy się o charakter Instytutu. Czy Instytut ma być jedną z wielu organizacji emigracyjnych, czysto werbalnych i „niezłomnych” w nieróbstwie, czy ma pozostać instytucją kulturalno-naukową, pracującą konkretnie dla jedynej dziś realnej formy walki o niepodległość, to znaczy walki o utrzymanie zachodniego charakteru kultury polskiej. Dokoła tej zasadniczej sprawy nagromadziła się masa najrozmaitszych drobnych spraw, motywów i ambicji. Najważniejszą z tych spraw to śmiertelny grzech Instytutu, który ośmielił się przerwać front patriotycznego pasywizmu i rozwijając się i odnosząc sukces, zmobilizował przeciwko sobie wszelkiego rodzaju zawiści,

strojące się w maski patriotycznej troski.

Wierzyński w odpowiedzi jednoznacznie określał swoje stanowisko (16 stycznia):

Kochany Stasiu! [...] Uważam, że jeśli emigracja nie będzie utrzymywała związku z krajem, pozostaje jej tylko jedna droga - w orszaku pogrzebowym na cmentarz - oraz deklarował: Jeśli kryzys w Instytucie będzie się ślimaczył i przewlekał, czy nie mógłbyś sprokurować dla mnie biletu lotniczego aller et retour, bym mógł wpaść do N.Y. choćby na kilka dni?

Strzetelski nadsyłał dodatkowe wyjaśnienia (25 stycznia):

Trudność załatwienia sporu jest nie merytorycznej lecz psychologicznej natury, ponieważ merytorycznie rację mają obie strony. Nie ulega wątpliwości, że na froncie politycznym potrzebna jest rygorystyczna niezłomność polityki emigracyjnej, tak jak na odcinku kulturalnym niezbędne jest utrzymanie akcji pomocy dostarczania niezbędnej amunicji kulturalnej Krajowi, pomocy, która, jeśli ma się rozwijać, nie narażając naszych przyjaciół w Kraju - nie może obyć się bez kontaktów z organizacjami naukowymi w Polsce. W gronie dojrzałych i odpowiedzialnych osób łatwo byłoby załatwić całą sprawę we właściwy sposób i podzielić funkcje. [...] Oto dlaczego Twój przyjazd jest tak ważny.

Zapewne dlatego Wierzyński bawił krótko w Nowym Jorku na przełomie lutego i marca 1961 r., kiedy zarząd PIN przyjął uchwałę,

że w obecnej sytuacji światowej kontynuowanie pomocy kulturalnej dla narodu polskiego oraz wymiany kulturalnej [...] byłoby z korzyścią dla narodu polskiego, dla Polonii Amerykańskiej, jako też dla Ameryki i całego wolnego świata

oraz uznał potrzebę powołania osobnej instytucji do spraw pomocy kulturalnej dla Kraju. (Była nią Fundacja Wandy Roehr, której prowadzenie objął jesienią 1961 r. Strzetelski).

Nieoczekiwanie zaatakował Mieczysław Grydzewski, stary przyjaciel i redaktor

londyńskich „Wiadomości”, w nocie *Instytut na zakręcie* (1961 nr 11), której sedno tkwiło w zdaniu:

Kontakt z Krajem jest rzeczą piękną, ale nie symbioza z czynnikami oficjalnymi.

Sprowokowany Wierzyński ponownie wyraził zdecydowane stanowisko (11 marca):

Drogi Mietku! Protestuję jak najkategoryczniej przeciw Twojej notatce o Instytucie Naukowym [...]. Jest ona oparta na nieznamości rzeczy i na demagogii. Szkodzi sprawie pomocy Polsce i szkodzi emigracji, bo bez związku z Polską emigracja traci sens istnienia. [...] Komunistów jest w Polsce tyle, co kot napłakał, a nawet i ci po roku pobytu na Zachodzie wracają z przetrąconym kręgosłupem marksistowskim albo wręcz wrogo nastawieni [...]. W Polsce nie ma miejsca na żadne podziemie kulturalne. [...] Nie widzę dziś innej możliwości walki o polskość niż zachowanie jej ducha i związku z Zachodem. Zachód to emancypacja spod wpływu Rosji, zachowanie tradycji, kierunek rozwoju. Tak myślą ludzie z Polski, stąd taki pęd za granicę i dlatego oczekiwanie pomocy od emigracji. [...] Piętnuję [...] nietaktowne i obraźliwe porównania i aluzje polityczne zawarte w notatce [...]. Dotyczą one ludzi pracujących w Instytucie, wśród których dostateczną gwarancję polskości dają: Korboński, [...] Lednicki [...] i Strzetelski. Podzielając ich stanowisko, muszę zaliczyć także i siebie do tak wyróżnionych przez „Wiadomości”. Nie mam innego sposobu protestu przeciw temu, niż wycofać się ze współpracy w Twoim piśmie [...].

(W istocie nie nastąpiło całkowite zerwanie Wierzyńskiego z londyńskim tygodnikiem, a blisko dwuletnia separacja: do końca 1962 r. nie pojawił się tam żaden jego tekst).

Wyznając niezmiennie wyrażoną kiedyś zasadę, że „ojczyzny się nie odwiedza, do ojczyzny się wraca”, utrzymywał Wierzyński stałe kontakty korespondencyjne z pisarzami w Polsce, m.in. Janem Parandowskim i Marią Dąbrowską. Raz wszakże, by wziąć udział w pogrzebie autorki *Nocy i dni* w maju 1965 r., zwrócił się do władz PRL o wizę, której mu odmówiono. Krytykowany w niektórych kręgach, że „zerka w kierunku Warszawy”, stanowczo ripostował: „Ależ ja nigdy ani przez chwilę nie

odwróciłem wzroku od Warszawy”.

Gdy zaś w 1967 r. była mowa o wieczorze autorskim w Polsce, w liście do Marii Dłuskiej, znawczyni jego twórczości, konstatował:

Zaproszenie jest zaszczytne i ujmujące, nie może jednak zmienić w niczym mojej postawy i planów. [...] Na żadne zaproszenie nie czekam, żadnego zaproszenia mi nie potrzeba i kiedy przyjadę - a myślę, że przyjadę kiedyś - zrobię to bez ostentacji i w dyskrecji, bo będzie to doświadczenie najważniejsze w moim życiu.

Wrócił nie tak, jak pragnął. Zmarł 13 lutego 1969 r. w Londynie; zgodnie z wolą wdowy jego prochy złożono 15 kwietnia 1978 r. na warszawskich Powązkach. Nawet i taki powrót wywołał kontrowersje wśród rozpolitykowanej emigracji niepodległościowej, która, jak zawsze, miała różne zdania.

Artykuł ukazał się w „Przeglądzie Polskim”, 12 czerwca 2009 r.

Z okazji 50-tej rocznicy śmierci Kazimierza Wierzyńskiego, 16 lutego 2019 r. w Sali Teatralnej POSK w Londynie odbędzie się konferencja naukowa zorganizowana przez Polski Uniwersytet na Obczyźnie wraz z Instytutem Badań Literackich PAN.

Instytut Kultury Europejskiej Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie
oraz Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk w Warszawie
serdecznie zapraszają na międzynarodową konferencję naukową



16 lutego 2019 r.
godz. 10.00–18.00
Sala Teatralna
POSK
238-246 King Street
Londyn, W6 0RF
Wstęp wolny

**„Chcę wrócić, jak emigrant, z podróży dalekiej,
Z papieru, z martwych liter, żywy, do twych rąk.”
Życie i twórczość Kazimierza Wierzyńskiego
(1894-1969) w 50. rocznicę śmierci Poety**

Wydarzenia towarzyszące:
godz. 18.00 – Wystawa
Archiwum Kazimierza
Wierzyńskiego
Biblioteka Polska POSK

godz. 19.00 – Recital poetycko-muzyczny
oparty na poezji Kazimierza Wierzyńskiego
„Wejź w mój sen” w wykonaniu artystów
Sceny Polskiej UK w POSK-u
Reżyseria Helena Kaut-Howson



Rejestracja: eventbrite:
<https://bit.ly/2W2OiqF>
albo w dniu konferencji
od godz. 9.30



PROGRAM KONFERENCJI:

**Życie i twórczość Kazimierza Wierzyńskiego (1894–1969)
Międzynarodowa konferencja naukowa w 50. rocznicę śmierci Poety**

**„Chcę wrócić, jak emigrant, z podróży dalekiej,
Z papieru, z martwych liter, żywy, do twych rąk.”**



**Współorganizatorzy:
Instytut Badań Literackich
Polskiej Akademii Nauk IBL PAN
oraz Polski Uniwersytet na Obczyźnie PUNO**

Program konferencji

09.30–10.00 Rejestracja

10.00–10.10 Otwarcie konferencji

Powitanie – PUNO, Londyn

10.10–10.20

Słowo od organizatorów – IBL PAN, Warszawa

Sesja pierwsza: 10.20–11.40

Moderator: Dr hab. Beata Dorosz (IBL PAN)

10.20–10.50 Prof. dr hab. Wojciech Ligęza (Uniwersytet Jagielloński)

„I zacznę się znowu”. O przemianach poezji Kazimierza Wierzyńskiego i sposobach jej odbioru

10.50–11.10 Prof. dr hab. Rafał Habielski (Uniwersytet Warszawski)

Kazimierz Wierzyński i polityka

11.10–11.30 Prof. dr hab. Jolanta Chwastyk-Kowalczyk (Uniwersytet Jana

Kochanowskiego, Kielce – PUNO, Londyn)

Echa twórczości Kazimierza Wierzyńskiego w prasie emigracyjnej

11.30–11.40 Regina Wasiak-Taylor (Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn)

Kazimierz Wierzyński i Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Londynie (komunikat)

11.40–12.00 Przerwa na kawę

Sesja druga: 12.00–13.20

Moderator: Prof. dr hab. Teresa Dobrzyńska (IBL PAN)

12.00–12.20 Dr Nina Taylor-Terlecka (Oxford University)

Kazimierz Wierzyński – przyjacielem

12.20–12.40 Dr hab. Beata Dorosz (IBL PAN)

Kazimierz Wierzyński – (pół)intymnie. Próba szkicu do portretu

12.40–13.00 Dr Katarzyna Zechenter (School of Slavonic and East European Studies, University College London)

Kazimierz Wierzyński and the Art of Flâneur

13.00–13.20 Dr Ewa Lewandowska-Tarasiuk (Akademia Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej, Warszawa – PUNO, Londyn)
Muzyczne świąty Kazimierza Wierzyńskiego

13.20–14.20 Lunch

Sesja trzecia: 14.20–15.40

Moderator: Prof. dr hab. Wojciech Ligęza (UJ)

14.20–14.40 Dr Charles S. Kraszewski (King's College, Wilkes-Barre, USA)
Kazimierz Wierzyński and Poetic Form

14.40–15.00 Dr hab. Jan Zieliński (Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Warszawa)

Zegary i czas w twórczości Kazimierza Wierzyńskiego

15.00–15.20 Prof. dr hab. Teresa Dobrzyńska (IBL PAN, Warszawa)

Poeta w czasie marnym. Zapis doświadczenia czasu w wierszach „Słyszę czas” Kazimierza Wierzyńskiego i Cypriana Norwida „Tymczasem”

15.20–15.40 Mgr Monika Anna Noga (Universität Freiburg, Szwajcaria)

Topos ogrodnika na przykładzie wiersza „Ogrodnicy”

15.40–16.00 Przerwa na kawę

Sesja czwarta: 16.00–17.00

Moderator: Dr hab. Jan Zieliński (UKSW)

16.00–16.20 Mgr Wojciech Klas (PUNO)

O archiwum Kazimierza Wierzyńskiego w Bibliotece Polskiej w Londynie

16.20–16.40 Mgr Jakub Osiński (Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń)

O dawnych i przyszłych edycjach utworów Kazimierza Wierzyńskiego

16.40–17.00 Mgr Agnieszka Kochańska, Mgr Paweł Rams, Dr Bartłomiej Szleszyński (IBL PAN)

O najważniejszych cechach cyfrowej edycji korespondencji Kazimierza Wierzyńskiego i Jana Lechonia

17.00–18.00 DYSKUSJA i Zamknięcie konferencji



Wydarzenia towarzyszące

18.00 Wystawa – Archiwum Kazimierza Wierzyńskiego w Bibliotece Polskiej POSK w Londynie

19.00 Recital poetycko-muzyczny oparty na poezji Kazimierza Wierzyńskiego, „Wejdź w mój sen” w wykonaniu artystów Sceny Polskiej UK w POSK-u, reżyseria Helena Kaut-Howson

Sponsorzy konferencji

The Hanna and Zdzisław Broncel Charitable Trust

The De Brzezie Lanckoroński Foundation

Polonia Aid Foundation Trust

M.B. Grabowski Fund

Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny



PUNO

Rejestracja: eventbrite:
<https://bit.ly/2W2OiqF>
albo w dniu konferencji
od godz. 9.30



Florian Śmieja o Kazimierzu Wierzyńskim:

<http://www.cultureave.com/najpierw-czlowiek-potem-artysta-kazimierz-wierzynski/>

Literackie odwiedziny



Janina Surynowa-Wyczółkowska, San Juan, Argentyna, 1974 r., fot. Archiwum Emigracji w Toruniu.

Florian Śmieja

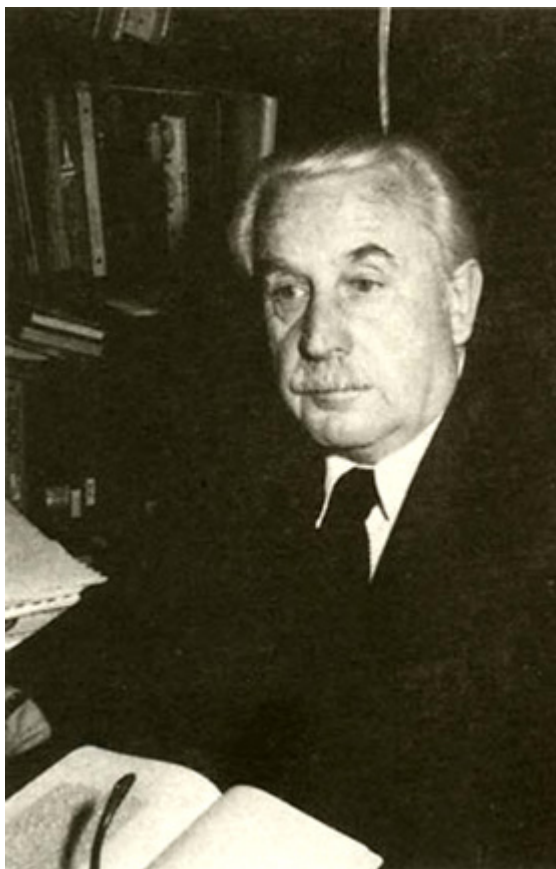
Nasza wyprawa samochodowa do Kalifornii obciążyla licznik 16 tysiącami kilometrów, za to liznęliśmy Meksyk i miasto Tihuana, a także tuzin sławnych parków z Yellowstone na czele.

Pod San Francisco udało nam się odwiedzić dwu poetów: **Jana Kowalika** w San José

oraz Jana Leszczę w Palo Alto. Znakomity bibliograf polskiej prasy emigracyjnej Jan Kowalik (1910-2001) rodem ze śląskiego Skoczowa, tęsknił za rodzinnymi stronami i w swoich wierszach je sobie przybliżał. Wspomagała go wyobraźnia, bo kiedy patrzył na sąsiedni łańcuch gór Santa Cruz to widział łagodne góry Beskidu. Wspominał rodzime grzyby, brakowało mu jednak śpiewu skowronka, bo te ptaszki na tym kontynencie nie śpiewają. Dlatego jednym z jego pragnień została skarga

Żeby tak jeszcze

Kilka taktów skowronka



Jan Kowalik, fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL.

Z cieszyńskimi **Janem Leszczą** (1918-1992), który przeżył obóz koncentracyjny w Dachau, wybraliśmy się do niedalekiej biblioteki w Uniwersytecie Stanford obejrzeć kolekcję dokumentów złożonych przez Polaków po wyjściu z sowieckiego zesłania. Tamże pokazywano nam fotografię Lenina, którą posługiwała się policja szwajcarska,

kiedy go inwigilowała.

Jednak najcieplej pamiętam kolibry na patio domu Leszczów uwijające się koło poidel.z czerwonym nektarem.

*

Choć zaglądałem do Meksyku póki żył **Jan Zych**, poleciałem do Wenezueli, by odwiedzić **Józefa Jennego** i wybrałem się do Kolumbii, by szukać śladów Gabriela Garcii Marqueza, nie zdążyłem zobaczyć Argentyny, by poznać **Janinę Surynową-Wyczółkowską** (1897-1985), aczkolwiek byłem pod wielkim urokiem jej późniejszych książek. Autorka osiadła pod Kordyleriami zbyt daleko od emigracyjnych ośrodków i choć cieszyła się mirom czytelników i poważaniem krytyków, nie zdołała przebić się na pierwsze strony, a w wolnej Polsce dziwnie nie znalazła zainteresowania, a tym bardziej wsparcia, a jej emigracyjne powieści nie doczekały się wznowienia w Polsce, gdzie by fascynowały czytelnika. Pisarka, warszawianka urzeczona swoim miastem i jego aurą, ostatnie dekady życia spędziła w obcej Argentynie. W wybornej trylogii ukazała zmaganie się polskiego dziedzictwa z argentyńskim otoczeniem, w opowieści o Grindze, Teresie, niespokojnej dziewczynie i jej gorzkim emigracyjnym losie. Wyszła ona za mąż za argentyńskiego Metysa.

Nasze dzieci odziedziczyły po ojcu ambicje narodowe. Szanuję to, ale walczę zjadle o moją ojczyznę-polszczyznę. Wprawdzie nie zasłużyłam sobie na to, aby się czuły dziećmi Polki, bo uciekłam z Kraju nie dla żadnych ideologii, kontrkomunizmów, czy w porywie wolności - tylko z osobistych względów.

Zapowiedziane drugie wydanie powieści na wychodźstwie nie doczekało się realizacji.

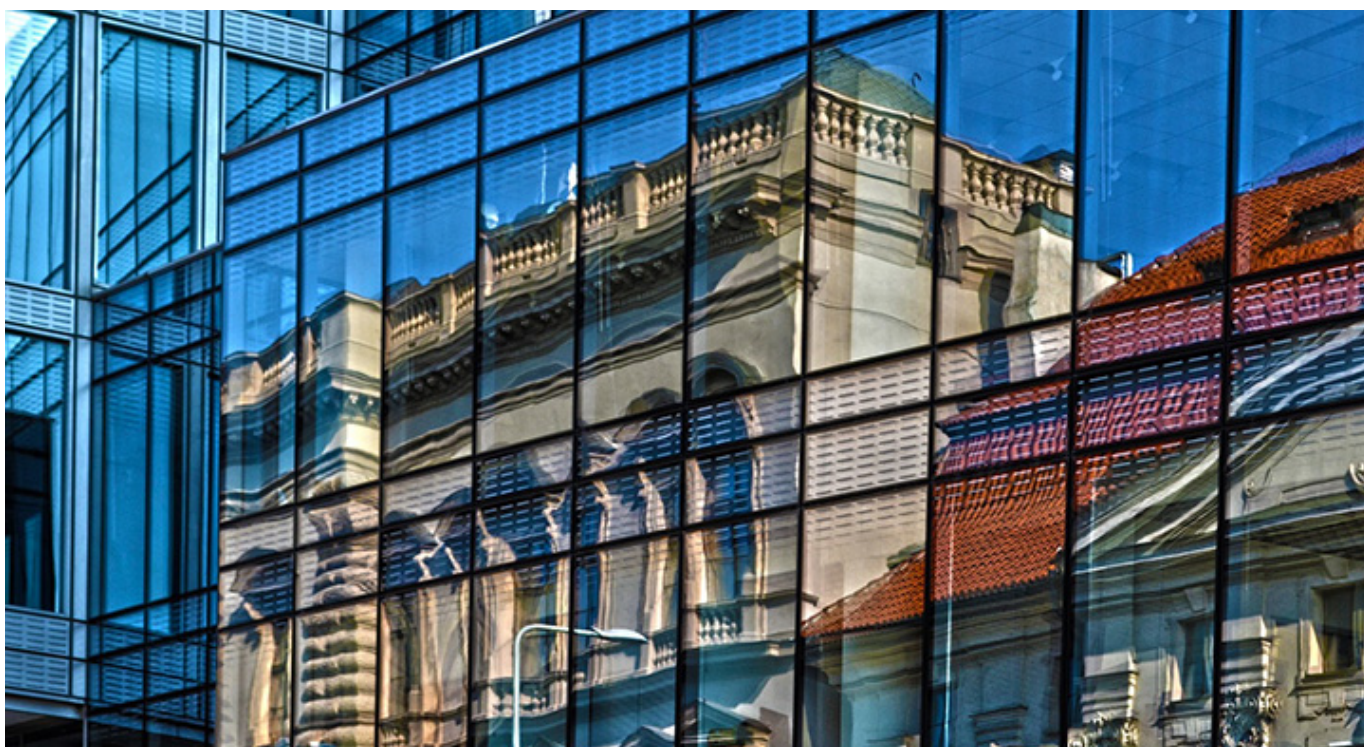


Janina Surynowa-Wyczółkowska, San Juan 1974 r., fot. Archiwum Emigracjiw Toruniu.

Krótkie wspomnienia i obserwacje Floriana Śmieji drukowane były w odcinkach jako „Migawki” w „Liście oceanicznym” - dodatku do „Gazety” w Toronto, pod red. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, w latach 2003-2008, a potem znalazły się w zbiorze: Florian Śmieja, „Ślady światła”, SILCAN HOUSE, Mississauga 2013, opracowanie, redakcja, skład, projekt okładki Joanna Sokołowska-Gwizdka.

O Janie Kowaliku:

Dwuadresowi



Katarzyna Bzowska (*Londyn*)

*My dwuadresowi
jeździmy pomieszkać do siebie.
Odwiedzamy przeszłość
myśląc co będzie?*

*Na rozdrożu już jesteśmy
samowolnie wygnani z dzieciństwa.*

Jeździmy po stabilizację

*zostawiając serca w kilometrach autostrad.
Zmęczeni podróżą wciąż tęsknimy
wszędzie obcy.*

*My dwuadresowi
tam i z powrotem jeździmy pomieszkać do siebie.*

Wiersz ten napisała mieszkająca od lat w Niemczech Joanna Duda-Murowski. Jakże dobrze oddaje on stan, w którym znajduje się obecnie wielu Polaków. Nigdy u siebie. Na obczyźnie zawsze trochę obcy, w Polsce – już obcy.

Ta dwuadresowość nie jest niczym nowym. Przez lata była raczej zjawiskiem marginesowym. Gdy ktoś decydował się na emigrację lub był do niej zmuszony, jak miliony ludzi wysiedlonych po wojnie z terenów Polsce zabranych, wiedział, że jest to droga w jedną stronę. A jednak były osoby, którym nawet wtedy udawało się mieszkać w Polsce i za granicą.

Takim dwu-, a nawet wieloadresowcem był Zbigniew Herbert. Ten emigrant z ziemi lwowskiej, który wyemigrował wewnętrznie w latach stalinowskich, żyjący na marginesie głównego nurtu życia literackiego, przez wiele lat tułał się po Europie. Mieszkał w Austrii, Niemczech, Francji i USA, gdzie przez krótki czas wykładał na jednym z uniwersytetów. Jednak nigdy do końca Polski nie opuścił. Wracał do niej, by znowu wyjeżdżać. A wyjeżdżał, bo ta Polska nie była „jego”. Uciekał, aby nie być „u siebie”, by tym samym móc być bardziej „u siebie”. Jednak zawsze wracał. W końcu wrócił na stałe.

Podobnie było z Czesławem Miłoszem. Też imigrantem z ziem zabranych, który nie potrafił znaleźć miejsca w świecie. Wybrał z dala od Polski w sposób bardziej zdecydowany niż Herbert, choć z zasiedziała, zwłaszcza nad Tamizą, emigrację nie miał łatwych stosunków. Oni potępiali go za to, że – jak wielu zresztą innych ludzi pióra (na przykład Julia Hartwig, czy Jerzy Zagórski) – tuż po wojnie zdecydowali się na pracę w PRL-owskich konsulatach. Krótki epizod tej współpracy części twórców wybaczone. Miłoszowi, który rozstał się z tą służbą w sposób spektakularny, część

emigrantów nie wybaczyła nigdy. Sam poeta do tych trudnych stosunków dołożył zresztą rękę, a raczej pióro. Pod koniec życia on także wrócił do swojej ojczyzny-obczyzny. Zamieszkał w Krakowie, mieście, które ma w atmosferze coś przedwojennego, nie jest nowoczesnym konglomeratem jak Warszawa, gdzie prawie nie ma starych warszawiaków. W Krakowie czuje się historię.

Takimi dwuadresowcami było także małżeństwo Julia Hartwig i Artur Międzyrzeccy. Przez wiele lat prowadzili wykłady na uczelniach amerykańskich, ale zawsze traktowali ten swój zagraniczny pobyt jako tymczasowy. Jakiś czas mieszkali w Paryżu. Nigdy nie zlikwidowali warszawskiego mieszkania. Przez krótki czas podnajmował je Zbigniew Herbert, gdy próbował znaleźć swoje miejsce.

Wszyscy wymienieni przeze mnie to poeci, widziani z różnych powodów, w różnych odsłonach polityczno-historycznych źle przez PRL-owskie władze. To ciekawe, że właśnie im wydawano paszporty, podczas gdy inni otrzymywali decyzje negatywne. Mam wrażenie, że władze chętnie się ich pozbywały, w nadziei, że ten „element niepewny”, oddziałujący negatywnie przede wszystkim na młodzież, która przychodziła tłumnie na poetyckie spotkania, wybierze zagraniczny adres.

Emigranci, którzy woleli mówić o sobie, że są uchodźcami, gdyż oni nie wyjechali, a zostali wywiezieni – do obozów lub na roboty w Niemczech, łagrów i kołchozów w Związku Sowieckim – nigdy nie wyemigrowali, a po prostu nie mieli dokąd wracać, żyli na obczyźnie Polską. Choć nie mieli drugiego określonego adresu, to była nim cała ojczyzna. Tyle tylko, że nie był to kraj prawdziwy, ten w jaki Polska zmieniła się, a kraj wyidealizowany, z ich wyobraźni, niewiele też mający wspólnego z tym, który opuścili.

Zmiany w Polsce, a później rozszerzenie Unii Europejskiej, gdy kontynent stał się otwarty dla wszystkich i by wyjechać nie trzeba już było starać się o paszporty i wizy, sprawił, że dwuadresowość stała się zjawiskiem znacznie bardziej powszechnym. Decydowali o tym sami zainteresowani, bez uzależnienia swoich wyborów od takiego czy innego podejścia „panów z urzędu”. Dostępność polskiej telewizji, internetu, a także taniość połączeń telefonicznych sprawiły, że wielu Polaków mieszka i pracuje w Niemczech czy Wielkiej Brytanii mentalnie nie wyjeżdżając. Zresztą to też nie jest zjawisko nowe. Zofia Kucówna w jednej ze swoich książek opisuje wizytę u przyjaciół

mieszkających w Jerozolimie. Oni żyli tym, co działo się nad Wisłą, choć nie wyjechali dobrowolnie, zostali do wyjazdu zmuszeni i wyruszyli w podróż z biletem w jedną stronę, bez prawa powrotu, a nawet prawa odwiedzenia Polski.

Zastanawiam się co będzie działo się, gdy Wielka Brytania opuści na dobre Unię Europejską? Ilu Polaków podejmie ostateczne decyzje, stanie się jednoadresowcem, zamieszka tu, albo tam? Ilu nadal utrzyma taki status, ale wybierze inny kraj europejski? A może wciąż uda się utrzymać obecną sytuację? Bo dwuadresowość to przede wszystkim stan ducha.

Napisałam ten tekst i włączyłam polską telewizję. Wiadomość, której obawiałam się od chwili, gdy nadeszła informacja o zamachu nożownika na Pawła Adamowicza, prezydenta Gdańska. Zmarł, nie przeżył zadanych mu ran. Uświadomiłam sobie, że dwuadresowość ma jeszcze jeden wymiar: jesteśmy narażeni na dwa razy więcej emocjonalnego przeżywania tragedii niż ci, którzy mieszkają w jednym kraju. Zabójstwo Jo Cox było dla mnie tak samo tragicznym wydarzeniem, jak Adamowicza. Tragedię smoleńską odczułam równie boleśnie, jak zamach terrorystyczny 7 lipca 2007 r. w Londynie. I to jest też cena, jaką się płacę za dwuadresowość.

„Tydzien Polski”, Londyn

Grass i obieranie cebuli



Günter Grass, 2004 r., fot. wikipedia.

Romuald Mieczkowski

Obieranie cebuli bywa zajęciem często przykrym, pędzącym łzy. Udział kogoś w formacjach nazistowskich SS, kogo tak cenili i honorowali Polacy, to szczególnie bolesny dla nich cios. Dla Niemców też to bolesny przyczynek w ocenie zasad moralnych swoich elit. Choć mimo wszystko - jak to w życiu bywa - z perspektywy czasu wytłumaczalny, choćby lojalnością wobec swojej ojczyzny, mimo paskudnej formy służbie tejże ojczyźnie.

Nie wchodźmy w jałowe rozważania na temat: dlaczego na to wyznaczenie Günter Grass (autor m.in. „Blaszanego bębena”, red.) aż tyle lat czekał? - dziś, kiedy skandale zapewniają sukcesy komercyjne, niektórzy do nich wszak dążą. Ale pisarza, laureata Nagrody Nobla, niezłomnego bojownika o demokrację, niebawoma sukces

wydawniczy, chyba mniej cieszy. Tym bardziej, że do biednych nie należy.

Sprawa była bardzo szeroko komentowana w Polsce. Na Litwie – mniej, ale też nie pozostała bez echa. Wypowiedział się w tej kwestii w *Komentarzu pisarza* dla stacji radiowej „Žinių radijas” („Radio wiadomości”) m.in. Valdas Kukulius. Przy okazji dostało się Wałęsie, za to, że nie podał ręki Grassowi, a którego to podczas pobytu w Wilnie *mania wielkości wszystkim pozostawiła największy psychologiczny osad* – stwierdził dziennikarz. Tymczasem *wszyscy, którzy widzieli Grassa, zachowają go w swej najświetlejszej pamięci.*

Wałęsie, „narodowemu populiście” – rozważał dalej dziennikarz – daleko do intelektualisty światowej skali, dlatego był pewien, że noblista w tej trudnej sytuacji obdarzony jest wyrozumiałością.

Miałem okazję i ja rozmawiać w Wilnie z Grassem, ujął on i mnie swoją sympatią. I jeszcze jednym, czego zapewne nie doświadczył pisarz-komentator: otóż mieliśmy to samo zdanie w ocenie sytuacji i roli mniejszości narodowych, jak też spustoszenia, jakie przyniosła przymusowa migracja narodów, w ocenie losów – jak to niejednokrotnie mówił Grass wprost – „wypędzonych”. Nawet, pamiętam porównywał losy Gdańska do Wilna.

Ma rację Kukulius, że młodość jest częścią życiorysu, że mimo różnorodnych interpretacji (tu powołuje się na sytuację na Litwie w czasie rządów Antanasa Smetony, ale trudno zrozumieć, co ma na myśli), fakty pozostają faktami. No, i – od siebie dodam – oczywiście, owe fakty składają się na wizerunek osób publicznych, szczególnie jeśli chcą uchodzić za autorytety moralne.

Wzorem wielkiego pisarza, mniej znany pisarz litewski wspaniałomyślnie przyznaje się do jednego, wstydliwego faktu i ze swojej biografii, dając pouczający przykład z własnego dzieciństwa i wyciągając wnioski – otóż zdarzyło mu się kraść róże z „działki kolektywnej”, i to nie było z kim, tylko z milicjantem, który miał pilnować terenu. Ale po tym Kukulius w życiu więcej nie kradł...

Przykład może to i bardzo literacki – wszak bardziej przemawiają do nas święci, co to grzeszyli, szczególnie za młodu, a potem się nawrócili. Ale jakoś nie bardzo przemawia skala porównań ułomności. Dobrowolne wcielenie „się” do struktur

faszystowskich odróżnić należy też od przymusowego. Prawda, byli i tacy, którzy nie musząc robić coś dla swojej zagubionej ojczyzny, w odległych krajach, na ochotnika, brunatne mundury wkładali, a po latach, jak gdyby nigdy nic zostawali nierzadko owymi autorytetami moralnymi. Czyżby do nich kierował Kukulus swą konkluzję:

Dobrze by było doczekać tej godziny, kiedy i litewscy politycy, działacze kultury zdecydują się otwarcie powiedzieć, kim i gdzie byli w młodości?

Wypowiedź pisarza przeczytałem w komputerze. Opinie czytelników (miejscami bardzo naiwne, miejscami wręcz chamskie) świadczą, jak nieznany to na Litwie, w społeczeństwie – sięgającym Internetu i pewnie młodym – temat. Przykre, że przy okazji natarczywie powieliła ono znane stereotypy wobec innych i w tej sytuacji „trzecich” nacji.

Günter Grass zmarł w 2015 r. (red.).